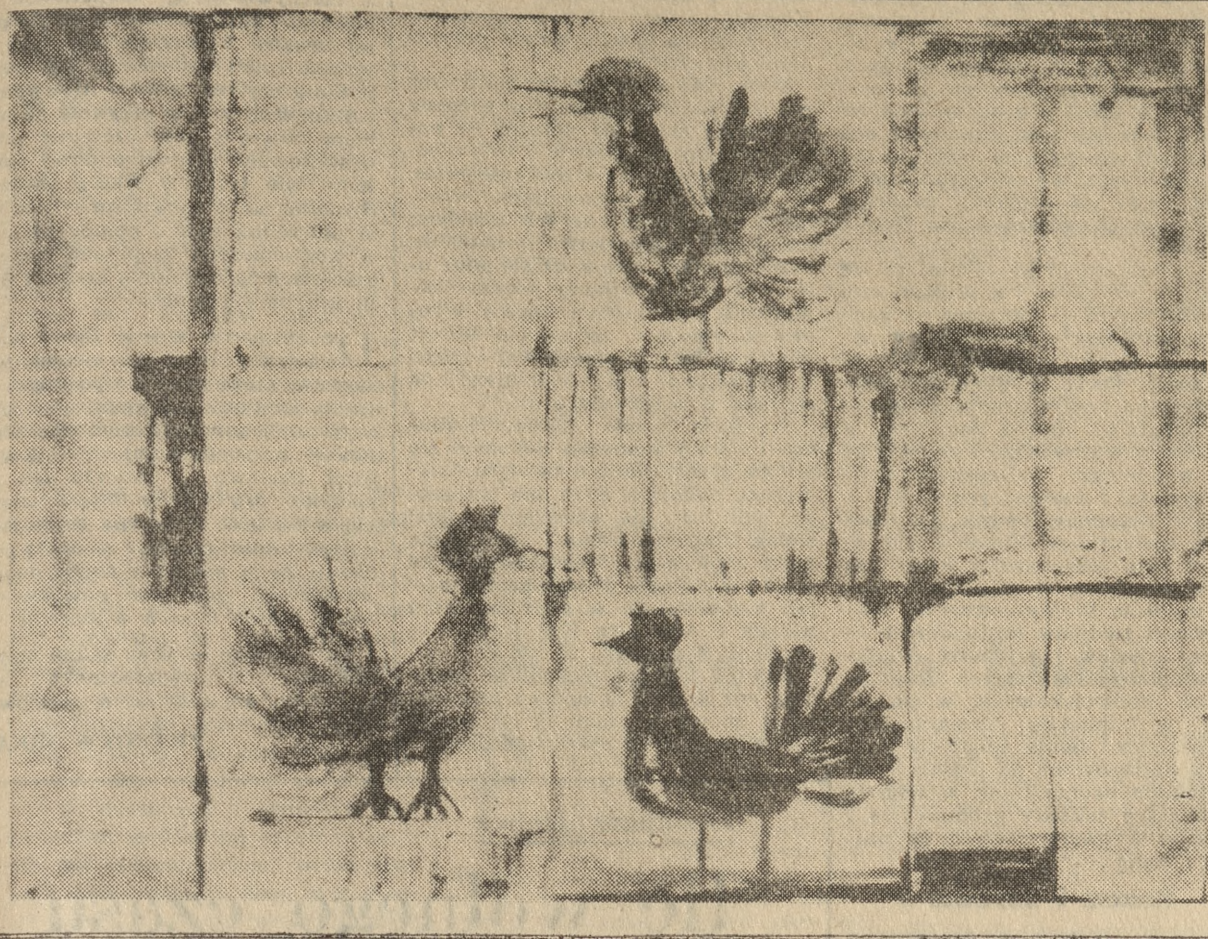




Wspomnienia najbardziej osobiste

Najpiękniej wspomnienia najdawniejsze: Towarzysza Wiesława przed wojną znałam mało, spotykałam go czasem w miejscu zebrania działaczy lewicowych w Warszawie, na Żelaznej... — opowiada „Krystyna”, Izolda Kowalska-Kiryluk.

Blżej poznałam go dopiero w sierpniu 1942 roku. Tow. Wiesław został wtedy sekretarzem Komitetu Warszawskiego PPR. Ja byłam wówczas członkiem egzekutywy tego Komitetu, stąd też nasze kontakty były częste.

Partia przeżywała w tamtych czasach ogromne trudności organizacyjne i techniczne po falach aresztowań, które przeszły wiosną i latem 1942 roku. Przy pomocy towarzyszy Wiesław odbudowywał warszawską organizację i osobiście ją kierował. Rozszerzała się baza działania Gwardii Ludowej, mnożyły się akcje zbrojne, rosły nowe kadry.

Stan zdrowia tow. Wiesława nie był najlepszy, dokuczaly mu dolegliwości żołądkowe, nie sprzyjały im kartkowy chleb okupacyjny i sacharyna dodawana do namiastek „herbatonu”. Kiedy przyjaciółka moja, Leokadia Chmieleńska — a której mieszkaliśmy i gdzie spotykaliśmy się z tow. Gomulką — poczęstowała go kiedyś kostką cukru, jedną z nielicznych przeznaczonych dla jej trzyletniego synka, tow. Wiesław protestował i wyciągnął z kieszeni marynarki dwie tabletki sacharyny zawinięte w bibułkę. Trzy razy w tygodniu przychodził wówczas do tego lokalu. Jego rozmowy ze mną miały charakter informacyjno-instrukcyjny; omawiał zadania polityczne, sytuację w kraju i na frontach, poruszał sprawy ludzi w partii. Zżył się z nami, w ciągłym napięciu: konspiracja, zmiany miejsca zamieszkania, brak środków do życia — wszystko to stwarzało konieczność rozłożenia opieki nad towarzyszami.

W grudniu 1942 roku tow. W. Gomulka przeszedł do pracy w Komitecie Centralnym, jego miejsce w Komitecie Warszawskim zajął Andrzej Kowalczyk. Tow. Wiesław, współtwórca myśli politycznej PPR, jeden z autorów deklaracji programowej „O co walczymy”, w publikacjach teoretycznych pisał niejednokrotnie, że idea skupienia wszystkich postępowych sił narodu we wspólnym froncie walki z okupantem musi utorować sobie drogę

Dokończenie na str. 2

Nawet w zimowy, pochmurny dzień, kiedy to widoczność przytłumiona jest mgłą — olbrzymia niecka węglowa, odkrywki Marantów I robi duże wrażenie. Gdzieś na dole pracują potężne koparki, przesuwają się wagony wyładowane brunatnym węglem, zapobiegliwe transportery dbają o to, by nie ustawał ani na chwilę strumień cennego paliwa.

Gosiawicka elektrownia potrzebuje na dobę 10 tysięcy ton węgla, a i brykietowni trzeba podrzucić dalsze dwa tysiące ton. To jest porcja dnia dzisiejszego, a w perspektywie lat? Niecka węglowa, zamiast 2,5 miliona ton rocznie, dostarczać będzie 21 milionów ton węgla do tej elektrowni, która tymczasem zwiększy swą moc z 315 megawatów do prawie 600 megawatów, i do drugiej, która obok niej zostanie wybudowana o sile 1200 megawatów.

Gdy błysk iskry elektrycznej przecina półmrok, można zauważyć górników, którzy z wysokości skarp wyglądają jak ludziki krzątające się obok olbrzymich smoków.

„Władca”

Wystarczy jednak zejść w dół, dotknąć stopą węgla, by zobaczyć czarne uznojone twarze, oczy maszynistów, napięte uwagi, sprawne ręce, nieomylnie kierujące skomplikowanym mechanizmem — zobać człowieka, władcę bogatych kopalni, który za jednym naciśnięciem guzika, może wprawić w ruch cały ten kombinat lub go unieruchomić.

Ale oto „władca” schodzi z maszyny, siada obok, wyjmując z gazetę owinięty chleb, wyciąga korek z szyjki manierki i najspokojniej zaczyna zjadać swój posiłek. Pryskają miły władcy — górnik uśmiecha się i spogląda pytająco na przybysza.

— Przepraszam władco, chciałem powiedzieć szanowny towarzysz górniku, dlaczego to spożywacie posiłek tu na hałdzie, i nie gniewajcie się — ale mając brudne ręce, zapyłaną twarz i na pewno zimną kawę w manierce?

Górnik ma wyraźnie zdziwioną twarz. Tyle komisji i dziennikarzy już tu było, ale przeważnie oglądali maszyny, fachowo oceniali prace odkrywki, zaglądali do warsztatów, parowozowni, pod wózki i elektrowozy, ale żeby takie pytania zadawali? Nie, tego jeszcze nie było...

Już wiem, że w pobliżu nie ma pomieszczenia, w którym byłby stół i ława, a także piecyk, na którym by można podgrzać kawę. Wiem również, że w najpilniejszych i ludzkich sprawach trzeba iść tam „za górę”. Jestem oburzony, ale pan i władca tego królestwa ma całkiem obojętną twarz. Widocznie są gorsze jeszcze sytuacje, nieznane mi dotąd. I rzeczywiście są, ale dowiaduję się o nich dopiero z referatów i dyskusji na wyjazdowym plenum WKZZ

w Radzie Zakładowej Kopalni Węgla Brunatnego „Konin”.

Nie bez powodu zjechali tutaj, do zagłębia węglowego, działacze poznajskich związków zawodowych, zaproszeni lekarze medycyny przemysłowej, członkowie komisji zdrowia i pracy, by ocenić wspólnie z górnikami sytuację w dziedzinie socjalnej ochrony zdrowia i walki z wypadkami przy pracy. Stwierdzono stanowczo, że górnikom potrzeba nie tylko potężnych koparek...

Głos spod ziemi

Praca górników zatrudnionych na odkrywkach węglowych należy potencjalnie do szczególnie trudnych i niebezpiecznych. Szczególne zagrożenie stanowi pędzenie chodników

Wacław Rogalewski

Koparki przesłoniły człowieka

odwadniających złoza, które w warunkach konińskich jest ustawiczną walką z żywiołem i to walką prowadzoną w nader niekorzystnych warunkach. Ciasnota, pochyłość, sztuczne oświetlenie, niekorzystne dla organizmu zmiany temperatury i nadmierna wilgotność powietrza — tak scharakteryzować można warunki pracy górników dobowych.

Był na sali i jeden z nich — Nawrocki. Od 6 lat co dnia schodzi po drabinie 60 m w dół, a po pracy tyłem w górę. Mówił krótko:

— Proszę o winde, solarium, bym mógł się ogrzać, gdy mokry wychodzę z szyby i raz do roku sanatorium.

Prosił w imieniu współtowarzyszów, którym wówczas, gdy on siedział w suchym i ciepłym pomieszczeniu, lała się woda za koinierza. Prosił tylko o to. O kroplę z morza potrzebę.

Być może, Nawrocki dopiero na tym zebraniu się dowiedział, że w 1961 roku zdarzyło się w kopalni aż 155 wypadków przy pracy, że około 8,5 proc. korzystających ze zwolnień lekarskich, chorowało na zapalenie stawów i gośćca, a 4 proc. zapadło na chorobę wrzodową żołądka i dwunastnicy.

Zanim rozpoczęły się narady — uczestnicy zwiędli przychodnie. Przyjechali tam wprost z odkrywk. Zafascynowani ogromem mechanizacji prac, potężnymi maszynami — z pewnym niedowierzaniem spoglądali na skromniutki baraczek z nad-

Zbigniew Mika

PODRÓŻ POSŁA

Przed chwilą rozpoczęła się druga zmiana. Przez grube ściany i stropy, dobiegał rytmiczny turkot maszyn. Odnosiło się początkowo wrażenie, że zebrani słuchają znanego sobie tętna fabryki, jakby chcieli sprawdzić, czy maszyny pracują sprawnie; w tym zasluchaniu zupełnie zapomnieli o swoim gościu. Stopniowo jednak ten i ów oglądał się do tyłu, szturchał sąsiada, zachęcał kolegę do wystąpienia. Szukano pierwszego odważnego.

— *Ja obywatelu posła — przerywa nagle ciszę stremowany głos — ja chciałem zapytać, jak to jest z tymi prawami jazdy na rowery. Jeżdżę już 10 lat, a teraz każą mi zdawać jakiś egzamin. Zdać się zda, ale najgorsze, że trzeba płacić. Podobno coś 70 złotych. Na kurs trzeba chodzić i po co?*

— *Zaczynam się nie nałapać — myśli sobie. — Typowa interwencja. Teraz na pewno posypią się sprawy mieszkaniowe, spory z pracodawcą i masa innych problemów.*

Posel — za stołem — w skupieniu notuje uwagi. Wszystkie oczy wpatrzone w odważnego, któremu nie zabrakło języka w gębie. Gdy milk-

nie, tak samo nagle jak zaczął, sala komentuje szeptem wystąpienie. Ale oto jest drugi „śmiały”:

— *U nas w Pile — zaczyna — trzeba zrobić porządek z rzeźnikami. To co nam sprzedają w postaci kiełbasy, zakrawa na śmiech. Ale najgorsze, że nie można dostać tanich wędlin, tylko drogie. Przecież my, robotnicy, nie możemy pozwolić sobie na suchą kiełbasę po 70 zł. Co nam z poledwicy, gdy nie ma salcesonu, boczku, czy zwyczajnej kiełbasy. To samo dotyczy chleba...*

Sala wyraźnie ożywia się. Gdy kończy jeden, wstają nowi dyskutanci. Mówią coraz śmielej i ciekawiej. Posel zapisuje kartki notosu drobnymi literkami. Coraz więcej problemów małej i dużej wagi. Jedne trzeba będzie przekazać władzom miejscowym, inne — wyższym urządzeniom, nierzadko w stolicy. Jedne dadzą się załatwić drogą doradczą interwencji, inne — być może posłużą posłowi nawet jako temat do interpelacji czy jako przykład w dyskusji nad projektami ustaw.

Zebrani śledzą uważnie ówówek posła. Z jego ruchem wiążą swe nadzieje na usunięcie osobistych kłopotów, na rozwiązanie problemów miasta i kraju. W swej nadziei są często bardzo wymagający. A posel — nie cudotwórca. Na pewno spowoduje analizę pracy pilskiego handlu mięsem, ale nie zbuduje dodatkowej szkoły. Pomoże w sprawach oświetlenia miasta, nie rozwiąże problemu mieszkań. Ale zapewne np. przy najbliższym spotkaniu z Ministrem Przemysłu Spożywczego powierzy mu sprawę tamtejszych Zakładów Ziemniaczanych. Fabryka ma kłopoty z wykonaniem planów, które oblicza się nie według wytworzonych produktów lecz sprzedanych. Zakłady tymczasem nie mają żadnego wpływu na tę sprzedaż.

Pierwsze tego dnia spotkanie posła Stronnictwa Demokratycznego na Sejm — Aleksandra Rozmiarka z wyborcami zakończone. Nie zakończył się jednak pracowity dzień pobytu w Pile. Prosto z Pilskiego Zakładów Przemysłu Ziemniaczanego jedzie do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Tu kontrola realizacji Programu Wyborczego, a potem jeszcze jedno spotkanie z mieszkańcami Pili. Tym razem otwarte, dla wszystkich w Domu Kultury.

Towarzyszyłem posłowi w tej interesującej podróży, która — choć w pomysłach nienowa — była zapowiedzią pewnej innowacji. Posłowie wielkopolscy postanowili bowiem, że będą się spotykać ze swymi wyborcami co najmniej dwa razy w miesiącu. Zasada ta obowiązuje od stycznia br. i zastępuje dotychczas stosowaną praktykę dni przyjęć interesantów indywidualnych, co nie wyklucza nadal osobistych rozmów z posłami. I tu tkwi geneza pytania, jakie postawiłem sobie przed zaproszeniem do Pili: czy potrzebne są tak częste spotkania posłów? Czy wskutek tego nie spowszednieją one wyborcom, nie tracąc na znaczeniu?

Nie wdawając się tu w oceny, można stwierdzić, że dotychczas posłowie zbyt rzadko spotykali się z obywatelami. Ich kontakt był często za bardzo „świętynny” a za mało „robotyczny”. Do tego wniosku doszedłem już później, po drugim spotkaniu posła Rozmiarka. Było ono dobrym, choć zapewne jeszcze nie wzorcowym, przykładem rozmowy wyborców z ich przedstawicielem w parlamencie. Być może dopomogła temu właśnie kameralna atmosfera sali pilskiego Domu Kultury i nastrój osobistego kontaktu. Sądzę, że duża to zasługa zaufania do gościa, który nierzaz już uczestniczył w rozwiązywaniu tamtejszych problemów. Cokolwiek by jeszcze

Dokończenie na str. 2

Wspomnienia najbardziej osobiste

Dokończenie ze str. 1

w społeczeństwie polskim. Jedyną siłą zdolną do scalenia jednostki narodu widział w klasie robotniczej i w jej awangardzie — Partii.

Jesień 1943 roku była dla partii brzemienne w wypadki. Aresztowano Pawła Findera i Małgorzatę Fornalską, Władysław Gomułka został pierwszym sekretarzem KC PPR.

Epizody z tamtych dni, wspomnienia najbardziej osobiste, jeszcze dziś nasycone są wzruszeniem: — Kiedy w końcu listopada uciekłam z rak Gestapo — przypomniał sobie Izolda Kowalska-Kiryluk — towarzyszył mi Wiesław wykazując mi serdeczności wprowadzając mnie w nowe życie organizacji. Potem, kiedy w grudniu 1944 roku zostałam sekretarzem Komitetu Warszawskiego, „orelowałam” naszej organizacji, nakreślałam kierunek jej działalności.

Wspomnienia przywołują koloryt tamtych czasów, dzień powszedni okupacji: byłam wtedy chora, koło łóżka stały dziurawe buty. Któregoś dnia towarzyszył mi Wiesław przyniósł jakąś paczkę zawiniętą w gazetę. I tłumaczył delikatnie, bym nie urazić, że będąc u jednego z towarzyszy, szewca, zobaczył parę noszonych, ale całych pantofli i wziął je ze sobą. Może będą dobre...

Sam towarzyszył mi Wiesław, nosił zniszczoną jesienią i kapelusz, pełen zaciętości. Kiedy go prosiłam, żeby włożył lepszy kapelusz, należał do Henryka Chmielewskiego — długo się wahał — zanim wreszcie przebrał argument „polityczny” (dla konspiracji wyglądał zewnętrzny działacz partyjny miał nie mieć znaczenia).

Nadszedł rok 1944. Kiedy we wrześniu dotarłam do Lublina i na posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR zdawałam relacje o ofiarach, jakie poniosła Partia w powstaniu, o losie ludności Warszawy, o gruzach miasta — twarz towarzysza Wiesława kurczyła się z bólu nad klęską poniesioną na skutek bezmyślnej i zbrodniczej polityki tych, którzy chcieli utrzymać utraczoną władzę i rozkazami z emigracji przypieczętowali los Warszawy. Wiedział, że za ich decyzje zapłacić będzie musiał naród polski.

Notowała:

KATARZYNA MELOCH

Józef Pieprzyk

NOWI LUBUSZANIE

Przysłuchiwałam się referatom pracowników Sekcji Socjograficznej Instytutu Zachodniego wygłoszonym przez nich na naradzie z publicystami pism krajowych w Zielonej Górze. Dotyczyła ona integracji tamtejszego społeczeństwa. Jest to ciekawe we współczesnej Europie zjawisko szybkiego scalenia się różnych grup przybyłych na ten teren.

O tych grupach mówił mgr Andrzej Kwilecki. Przeszło 40 procent mieszkańców województwa zielonogórskiego pochodzi z terenów zabrzańskich, 20 procent z Wielkopolski, reszta to przybysze z województw centralnych i miejscowa ludność. Jedynie jednak grupa wielkopolska, która przede wszystkim zaludniła okolice przyległe do macierzystego województwa, przedstawia mniejsze różnicowanie wewnętrzne. Trudno bowiem doszukać się wielu wspólnych cech pomiędzy repatriantami z Wilenszczyzny i z Podola. To samo odnosi się do przybyszów z województw centralnych, na przykład z Lubelskiego i Krakowskiego.

Poczucie więzi

Każda grupa przywiozła ze sobą swój własny bagaż kulturowy; początkowo wystąpiły jaskrawo różnice obyczajowe i zwyczajowe, w zachowaniu, w wartościowaniu, w dialekcie i inne. Ten bagaż utrudniał asymilację, ale przeciwko niemu wystąpiły czynniki jednoczące, chociażby fakt rozpoczynania życia od nowa, konieczność usuwania zniszczeń wojennych, pomagania sobie wzajemnie, podejmowania wspólnych inicjatyw.

Proces tej integracji społecznej kształtował się inaczej w miastach, a inaczej na wsi. Z wynikami swoich badań na wsi na wspomnianej naradzie podzieliła się mgr Bożena Chmielewska. Można już stwierdzić, że wieś lubuska po migracjach w poszukiwaniu lepszych obiektów już się ustabilizowała, a w swoich tendencjach (budowa, remonty itp.) upodabnia się do wsi województw centralnych.

Ciekawe, że o ile starsze pokolenie jeszcze nie pozbyło się zupełnie swojego starego bagażu kulturowego, o tyle młodzież do pochodzenia nie przywiązuje żadnej wagi. Mówił o tym mgr Józef Konieczny. Według jego danych (na przykładzie mło-

dzieży Miedzyrzecza), dużą sympatią cieszy się u swoich kolegów młodzież rodziców pochodzących z Wielkopolski. U niej daje się jednak zauważyć pewną jeszcze powściągliwość w zawieraniu przyjaźni, jest to niewątpliwie wpływ starszego pokolenia; ale to zjawisko nie wpływa w niczym na poczucie jedności młodych.

Próbę syntezy procesów integracyjnych w oparciu o badania dał dr Zygmunt Dulczewski. Stanowiła ona odpowiedź na pytanie czy słuszne jest uważanie województwa zielonogórskiego za region, nazwany przez samych mieszkańców Ziemią Lubuska.

Wszystkie czynniki składające się na pojęcie regionu, w rozumieniu socjologicznym — zdaniem poznajskiego socjologa — występują w odniesieniu do województwa zielonogórskiego. Poczucie więzi wywołują: wspólna administracja z hierarchią władz od sołtysa począwszy a na władzy wojewódzkiej skończywszy, wybieranie najlepszych ludzi na radnych i posłów; rezygnacja z ambicji pochodzeniowych na rzecz dobra społecznego. Niemalą rolę odegrał ruch ludoznawczy, który znalazł swój wyraz w zapewnieniu gablot muzeów. Województwo ma także swoich twórców kulturalnych — pisarzy, poetów i artystów, działaczy skupionych w różnych towarzystwach środowiskowych, a zwłaszcza w Lubuskim Towarzystwie Kulturalnym, swoją ideologię społeczną dostosowaną do terenu, swoje ambicje ekonomiczne w oparciu o istniejące zakłady produkcyjne i o zasoby surowcowe (węgiel brunatny i naftę).

Pracą i sercem

Prawda, że wymienione czynniki działają także w innych województwach zachodnich. Ale w województwie zielonogórskim działają jeszcze trzy inne, których nie ma w sąsiadujących województwach. Jednym z nich jest symbol regionalny, którym stała się Babimojszczyzna. Tamtejszy strój ludowy, pieśni i tańce — zostały przyjęte przez wiele zespołów rolniczych po całym województwie. Bohaterzy walki z naporem germanizacji w tej okolicy stali się bohaterami narodowymi dla wszystkich mieszkańców.

Drugi czynnik — to nazwa. Historyczne pojęcie Ziemia Lubuska odnosiło się do kilku powiatów nadodrzańskich, po wojnie rozszerzyło się ono na wszystkie powiaty wchodzące w skład delegatury gorzowskiej województwa poznańskiego, a

po powołaniu województwa zielonogórskiego — na całe województwo. Ten awans nazwy ma swoje odpowiedniki w dziejach: Rzym dał nazwę imperium rzymskiego, Frankowie — Francji, Polanie — Polsce. Kariera nazwy „Ziemia Lubuska” jest jedynym współczesnym przykładem tego zjawiska.

Dużą rolę odegrały też naturalne granice województwa. Od zachodu — Nysa i Odra, od północy — pas lasów nadwarciańskich i nadnoteckich, od wschodu — łańcuch jezior. Od południa — województwo wrocławskie nie związane tak mocnymi nićmi jak województwo poznańskie, które poprzez swoją działalność osiedleńczą, początkowy nadzór administracyjny i swój bogaty ośrodek kulturalny odciągnęło uwagę mieszkańców południowej części województwa zielonogórskiego od ośrodka wrocławskiego.

Przyjęcie terminu Ziemia Lubuska i nazwy lubuszan dokonało się wbrew tradycjom i niektórym działaczom, oddolnie. Było ono potrzebne ludności dla określenia samej siebie, dla umocnienia i pogłębienia więzi społecznej. Zaakceptowane zostało także przez władze partyjne — jak stwierdził to w podsumowaniu narady I sekretarz KW PZPR — Tadeusz Wieczorek.

A więc naszym zachodnim sąsiadem jest Ziemia Lubuska z lubuszanami, którzy w ciągu 17 lat wrośli już w swój teren pracą i sercem.

Kazimierz Denek

Ile wolnego czasu mają uczniowie?

Rozwój współczesnej nauki, metod nauczania i techniki ukazuje niedalekie perspektywy zwiększenia ilości wolnego czasu. Toteż zagadnienie przygotowania uczniów do właściwego wykorzystania tego wolnego czasu w interesie wszechstronnego rozwoju osobowości budzi zrozumiałe zainteresowanie szerokiego rzesz społeczeństwa, a szczególnie nauczycieli. Ile wolnych godzin pozostaje uczącej się młodzieży po wypełnieniu obowiązków szkolnych?

Dla znalezienia odpowiedzi na to

IŁOŚĆ WOLNEGO CZASU, KTÓRYM DYSPONUJE MŁODZIEŻ W DNI POWSZEDE

Liczba uczennic	% badanej zbiorowości	Ilość wolnego czasu nie posiada
3	1,94	1—1,5 godz.
45	15,57	2—2,5 "
76	26,29	3—3,5 "
98	33,91	4—4,5 "
52	18,00	powyżej 5 godz.
15	5,19	

IŁOŚĆ WOLNEGO CZASU, KTÓRYM DYSPONUJE MŁODZIEŻ W NIEDZIELE

Liczba uczennic	% badanej zbiorowości	Ilość wolnego czasu
37	12,80	3—3,5 godz.
80	27,68	4—4,5 "
116	40,13	5—5,5 "
56	19,39	powyżej 6 godz.

Po dwóch tygodniach dla pogłębienia i sprawdzenia wiarygodności wyników ankietowych przeprowadziłem w klasach objętych ankietą ponowne badania kontrolne w postaci wypracowań pt. „Co robię w dzień powszedni i niedzielę”. Następnie po kilku dniach ta sama młodzież przy pomocy ankiet anonimowych podała mi ilości czasu zużywanego na różne czynności w ciągu doby. Otrzymane w obu wypadkach rezultaty oraz przeprowadzone dodatkowe obserwacje i wywiady środowiskowe dają podstawę pełnego zaufania do pierwotnych wyników.

Z zestawień widać, że ilość wolnego czasu, którym rozporządzają uczennice nie jest wielkością stałą ani jednakową dla wszystkich. Wyznacza ją wiele czynników. Jak wykazały obserwacje i wywiady do najważniejszych należą: zajęcia szkolne, dojazd do szkoły, praca domowa, warunki mieszkaniowe i stopień opanowania sztuki uczenia się. Dostrzega się przy tym wyraźne różnice w ilości wolnego czasu w dni powszednie i w niedzielę. Przekonuje o tym najlepiej porównanie danych zawartych w zestawieniach.

Porównując godziny wolne od zajęć młodzieży klas pierwszych naszej szkoły z ustalonym dla jej wieku (15 lat) tzw. „minimum higienicznym” wypoczynku w wymiarze 4 godz. na dobę, należy stwierdzić,

dodać i tak postuży stwierdzeniu, że jest o czym rozmawiać z posiem, jest o czym radzić i dyskutować.

Mówiono przeważnie o mieście. Konfrontowano Program Wyborczy z rzeczywistością, uzupełniano go nowymi spostrzeżeniami dotyczącymi braków i potrzeb. Nie były to jednak tylko informacje dla posła, pytania czy też żądania interwencji. Natknąwszy się na przykład na problem nowej szkoły rzetelnie przedyskutowano projekt budowy pawilonu. Nie tylko o szkołę chodziło. Szukano także rozwiązań — i tu była potrzebna rada i pomoc posła — w komunalnych kłopotach Piły, w kwestiach zatrudnienia kobiet i wielu innych sprawach.

Do Poznania wrócił Poseł obdarowany troskami swoich wyborców, które stały się po części jego osobistymi troskami. Już przy wyjściu, jeden z pilskich mieszkańców — zaaje się kolejarz — powiedział Posłowi: — Dobrze tak się spotkać. My wtedy bliżej wiemy, czym się tam w Sejmie zajmujecie a wam z kolei nie obce są nasze problemy. Sejm nie może chyba dobrze obradować, gdy jego posłowie nie znają zdania swoich wyborców.

Tu — sądzę — tkwi sedno owych spotkań. Nie „świętecznych”, lecz zwykłych obywatelskich rozmów.

ZBIGNIEW MIKA

Bogusław Kogut

Teksty i preteksty

Co z tą polską piosenką? — oto pytanie stulecia, no, powiedzmy, piętnastolecia. Urządza się różne plebiscyty, konkursy na teksty i melodie, felietoniści (a najbardziej chyba Jan Szelaż w Nowej Kulturze) kruszą pióra w bojach o poziom tej piosenki. A chała panoszą się i panuje. Więc każdy pragnie mieć jakiś udział w tej wojnie o poziom piosenki.

Jak wygląda przeciętna polska piosenka? Składa się ona z tzw. muzyki (albo muzyczki) i z tzw. słowa, czyli tekstu. Muzyka jak muzyka, w ramach panującej mody bywa nawet odrobine zróżnicowana i pomysłowa. Za to teksty — mój ty Boże! Paplantina, gaworzenie do rytmu i rytmu, a sensu ani za grosz. Właściwie tekst nie jest wcale tekstem, jest jedynie pretekstem, służącym do tego, by wykonawca nie musiał posługiwać się dźwiękami nie artykułowanymi. Pieśń (a zatem i piosenka?) jest pojęciem nieziemnie bliskim, potocznie prawie identycznym z pojęciem: poezja. Szukajcie poezji w polskiej piosence! A zresztą nie szukajcie, bo nie znajdziecie. Jeden czy drugi tekst Ficouskiego nie robi w piosenkarstwie poetyckiej wiosny.

A wykonawstwo? Maniera, maniera i jeszcze raz maniera — wszystko na jedno kopyto. Na palcach jednej ręki można policzyć wykonawców, którzy tę manierę usiłują jakoś wzbogacić, odświeżyć. Ale — bądźmy sprawiedliwi. Zaprawdę nie łatwo jest inter-

pretować tekst, który absolutnie nie ma znaczący.

Pisał ktoś, już nie pamiętam kto, że nasza piosenka jest tak bez tróścina i amorficzna, że nikt nie rozpoznałby gdzie, kiedy i dla kogo ona powstaje. I tutaj przychodzi mi na myśl pewna sławna i osławiona osobistość. Sławy w swym czasie i środowisku poeta, kompozytor i piosenkarz w jednej osobie, ostroawiony dekadent, trubadur arystokratycznych i miłośnika salonów przedewo-

nad

lucyjnej Rosji. Słowem — Wertyński. Posłuchajcie Wertyńskiego, jeśli znajdziecie gdzieś jego nagrania. Rozpoznać nieomylnie gdzie, kiedy i dla kogo pisał, komponował i śpiewał.

Zostawiając na boku całą „ideologię” Wertyńskiego zobaczcie, jak wygląda piosenka reprezentatywna i wyrażająca, zobaczcie, co znaczy świetne rzemiosło. Tam tekst nie jest pretekstem, jest integralną częścią piosenki. W ramach ówczesnego stylu teksty Wertyńskiego są poetyckimi majstersztykami. Zresztą Wertyński dorabiał melodie również do wierszy Jesienina, a ten poeta nie potrzebował reklamy.

Tu jest pies pogrzebany. Dobra piosenka bez dobrej liryki obejść się nie może. Mógł ktoś

śpiewać Jesienina, czemuż nie można śpiewać współczesnych poetów? Owszem, jest pewna podstawowa trudność. Poezja nowoczesna, z której wyeliminowano rym i w której skomplikowano niestychanie rymów, poezja sprószona — nie bardzo daje się śpiewać. Można było śpiewać Jesienina i Sewerianina — z Rożewiczem to raczej nie wyjdzie. Ale współczesną poezję nie sami „Rożewiczoidzi” tworzą, znajdzie się również trochę dobrej poezji bardziej „melodycznej”. Ktoś jednak z kompozytorów melodii piosenkowych chciałby się męczyć nad dorabianiem melodii do poezji powstałej nie przy ich fortepianie? Zresztą poeta może współpracować z kompozytorem również bezpośrednio. Tak czy owak nie ma żadnych istotnych powodów, by teksty piosenek miały być domeną pozaliteracką, ściśle: poapoetycką, by musiały być „tworzone” przez tzw. tekściarzy (naprawdę jest w Polsce taki zawód!). Wystarczy porównać niektóre teksty wspomnianego już Ficouskiego, czy też teksty Osieckiej z „Tingel-Tangli”, by zrozumieć jak wiele zależy od kultury poetyckiej, talentu i twórczej ambicji autora tekstu.

Ale — co tu owijać w bawełnę — nikomu z kompetentnych nie zależy na przyciąganiu poetów do tego typu twórczości. Organizuje się konkursy — zamknięte! — na teksty i nie zaprasza się poetów. „Tekściarze” strzegą swego monopolu w sposób wszechstronny i doskonale skuteczny. Więc pleni się chała, śpiewana grafomania, od której puchną uszy słuchacza wyrobionego nieco, ale którą słuchacz niewyrobiony przyjmuje za dobrą monetę i na niej kształci swój gust i smak.

Ano, na zdrowie. Przynajmniej Jan Szelaż ma o czym pisać i ja — raz na rok — także.

Teatr czy sport?

Józef Halagowski

Dwa oblicza

Na godzinę przed meczem najlepszych krajowych lub zagranicznych drużyn sportowych tramwaje zmierzające w stronę miejsca rozgrywek są przepełnione i obwieszane gromami młodzieży. Kasy nie nadążają ze sprzedażą biletów. Potem tysiące młodych i starszych z niesłychaną uwagą śledzą przebieg gry, okrzykami dopingując swoich ulubieńców na arenie lub boisku sportowym. Wygrana i przegrana jest tematem późniejszych dyskusji, gazety z relacjami przechodzą z rąk do rąk, czytelnicy dorzucają swoje komentarze; pamiętają najlepsze wyniki z ostatnich lat, znają najlepszych aktorów, otaczają ich podziwem, ba, kultem.

Taki jest nasz sport. Sport? Wydaje mi się, że to niesłuszna nazwa. To, czego jesteśmy świadkami, ma w sobie wszystkie elementy, które znajdziemy w... teatrze. Tu i tam jest widownia, tu i tam jest scena. Różnica tylko w tym, że sztuka teatralna przebiega według z góry przewidzianego schematu, tę samą rzecz możemy oglądać kilka razy, gra artystów różni się w odczuciu roli w inscenizacji i dekoracji, gdy na boisku sportowym przebieg akcji nie jest schematyczny, widza czekają niespodzianki. Stąd tyle emocji. Jedno i drugie przedstawienie kończy się burzą oklasków, przepraszam, widownia sportowa umie ponadto gwizdać i obsypywać epitetami, czego nie godzi się robić w teatrze.

Ten teatr sportowy tradycjami swoimi sięga trzech tysięcy lat. W roku 776 przed naszą erą stał się obywatelską instytucją. Co cztery lata do Olimpii na Półwyspie bałkańskim przyjeżdżali z całego świata zawodnicy z różnych krajów, aby wziąć udział w wieloletniej imprezie. W roku 394 naszej ery był ostatnim greckim teatrem, jego umiejętności fizyczne i artystyczne. (Mądrość ówczesnych nie pozwalała na odgraniczenie wychowania fizycznego od kultury umysłowej i sztuki). Już kilkadziesiąt lat wcześniej od wspomnianej daty Rzymianie w swoim imperium wprowadzali igrzyska na arenach, budując specjalne stadiony, ćwicząc gladiatorów — to są już artyści zawodowi, gra idzie o życie. Widownia pasjonuje się krwawą walką „moriturów” z dzikimi zwierzętami. Tak długo, aż pod murami Wielkiego Miasta nie pojawi się barbarzyńcy i Forum Romanum zostanie skazane na skubanie trawy przez kozy.

W następnym półtora tysiąca lat nie widzieliśmy już tego rodzaju przedstawień. Oto na dziedzińcu średniowiecznego zamku turnieje. Walczy rycerz z rycerzem, giermek z giermkim — widownia przygląda się reńdamentowi. W czasie wojen XVI i XVII wieku na oczach dwóch armii rozgrywały się jeszcze pojedynki, które tak pięknie opisuje Sienkiewicz w swojej Trylogii. To także teatr umiejętności fizycznych.

Dopiero w XIX wieku, a szczególnie w drugiej połowie powraca na widownię starogrecki sport. Francuski archeolog i działacz społeczny Pierre de Coubertin doprowadza do realizacji myśli wzniesienia olimpijskich igrzysk w Atenach (r. 1896). Tłumy żądne przeżyć emocjonalnych mają znowu okazję ich zaspokojenia.

Ale przecież nie o to chodzi w kształtowaniu człowieka. Emocje mogą wywalać dobre i złe skłonności; o wiele ważniejsze od tej teatralności jest wyrabianie tężyzny fizycznej młodego pokolenia. Postulat to bardzo stary, ale drepcący obok historii widowisk sportowych. Grecy mieli to na uwadze, i Szkolę pogańską, bawiając się rzucaniem pęczera zabitego na ofiarę byka w zagrodę broniącego swojej bramy sąsiada, i nasi prapradziadkowie organizujący „sobotki”. Można by tu dołączyć jeszcze średniowieczne wychowanie rycerskie, które było szkołą: fechtunku, jeździectwa, wytrzymałości i innych sprawności.

Idea masowego sportu powstaje razem z przemysłem. Na naszym terenie powstaje w r. 1867 towarzystwo gimnastyczne „Sokol”, mimo wstępnego charakteru politycznego w dziedzinie kultury fizycznej zdołało wiele, a przede wszystkim rozpowszechniło ją w miastach i mia-

steczach, stąd w dwudziestolecie ruch ten zaczął przenikać na wieś.

Po wojnie zdawało się, że nabierze on (sport) wielkiego rozmachu. Niestety, jak dotąd w dalszym ciągu stanowi margines popisów teatralno-sportowych, mimo że upowszechnienie jego jest pilną koniecznością. Pracę fizyczną bowiem coraz bardziej eliminuje postęp techniczny. Brak wysiłku mięśni powoduje nie tylko niewłaściwy rozwój ciała młodego człowieka, ale także utrudnia działanie narządów wewnętrznych, wpływa ujemnie na stan psychiczny i umysłowy.

Przypatrzmy się statystyce. Sportowe stowarzyszenia w kraju liczą blisko 1,5 mln. członków, w tym 1 mln. ćwiczy sezonowo; wyłączone

tu trzeba by szachy i strzelectwo, gdyż mało mają wspólnego z wysiłkiem mięśni. W naszym województwie na 400 tysięcy młodzieży wiejskiej tylko 39 tysięcy należy do LZS. Dane te jednak są za wysokie, bo część zespołów i sekcji działa tylko... w sprawozdaniach. Nie dziwny się. Sport masowy w jakimś tam miasteczku czy wiosce nie może się rozwinąć, będąc zaprzeczonym w sport widowiskowy nie dla potrzeby ciała, lecz dla oklasków, nagród i chwilowego uznania. Pod tym względem daleko wyprzedziły nas Chiny Ludowe, tam sport stał się czynnością codzienną całego społeczeństwa.

A więc dwa oblicza sportu. Jedno — konkurent teatru dramatycznego, drugie — to konieczność naszych czasów, nieodzowny element współczesnego wychowania. Pierwsze — w modzie od tysięcy lat, drugie — odwieczne w powiśkach. Jak to zmienić? Sprawa godna dyskusji.

Bogdan Dohnke

Widzowie na boisko?

Pasjonujący, a równocześnie niezwykle aktualny temat poruszył Józef Halagowski stawiając pytanie: Teatr (nie mylić z dramatycznym) czy sport? Autor nie ustrzegł się jednak zasadniczego błędu, popełnianego przez większość ludzi zabierających głos na temat sportu, podkładając pod ten termin również dwa odrębne zagadnienia, a mianowicie wychowanie fizyczne i czynny odpoczynek.

Wiele czynników złożyło się na to, że sport przestaje być elementem podstawowego wychowania fizycznego, a staje się... teatrem. Niedawno doskonały znawca medycyny sportowej, opiekun naszych czołowych zawodników dr Wacław Sidorowicz, powiedział bez przesady, że hasło „sport to zdrowie” traci swój sens. Nie jest tajemnicą, że sport (dosłownie) mogą uprawiać dziś ludzie obdarzeni nie przeciętnym zdrowiem, i doskonałymi warunkami fizycznymi. Osiąganie rekordowych rezultatów powoduje jednak pewne ujemne następstwa.

Współcześni lekarze sportowi znaleźli się na etapie konstruktorów rakiet, którzy mieli doskonały silnik rakietowy, ale długo jeszcze musieli szukać surowca, z którego wyprodukowana będzie obudowa wytrzymująca wysokie temperatury przy szybkościach ponadprzeciętnych. Stosując najnowocześniejsze zdobycze medycyny (nie chodzi tu o środki sztucznie podniecające) lekarze i trenerzy zmusili serce i płuca sportowca wyczynowego do takiej wydajności, której nie wytrzymał mięsień.

Można zapytać: co to ma wspólnego z teatrem? Otóż ma wiele i zaraz postaram się to uzasadnić.

Pogoń za rekordami, wysokie wymagania stawiane organizmowi ludzkiemu uprzywilejowały, rzecz jasna, wąską grupkę ludzi zdolnych do osiągania nieprzeciętnych rezultatów. Każdy klub prowadzi bezwzględnie selekcję. Już wśród najmłodszych adeptów sportu i całą uwagę kieruje jedynie na najlepszych, przygotowując ich z góry do występów w reprezentacyjnym zespole. Nierównomierny jest nakład finansowy i szkoleniowy. Młodzieńcy nie obdarzeni talentem stają się po pewnym czasie uciążliwi dla klubu. A więc nie o rozwój wychowania fizycznego tu chodzi. Wysiłek koncentruje się na przyszłych aktorach ścigających na widowni stadionów dziesiątki tysięcy widzów o najbardziej chyba zróżnicowanym poziomie intelektualnym. Aktorzy teatru sportowego dają najprostszą do odebrania widowni. Nie reżyserowane. Przedstawienie posiadające zawsze element niewiadomej.

Formy teatru sportowego zmieniają się w miarę rozwoju cywilizacji. Treść: zmagania fizyczne młodych ludzi, biorące swój początek w procesie inicjacji u ludów o pierwotnej kulturze, uległa wprawdzie pewnym przeobrażeniom, ale w zasadzie nadal pozostaje ta sama. We współczesnym teatrze sportowym zaczynają pojawiać się również aktorzy zawodowi.

Stawiając pytanie: sport czy teatr — Józef Halagowski podstawiał pod słowo sport zupełnie inne pojęcie, bowiem wybierając którykolwiek z wspomnianych kierunków, wybrałbyśmy to samo. Zresztą pod koniec artykułu autor wyjaśnia częściowo do czego zmierzał. Teatrowi sportowemu chciał przeciwstawić ubogą sprawność fizyczną widowni. Sygnalizuje potrzebę stworzenia

możliwości rozwoju fizycznego przeciętnego człowieka, gdyż nasz wysiłek fizyczny i ruch są coraz bardziej ograniczane, co nie pozostaje bez wpływu na prawidłowe funkcjonowanie organizmu. Problem ten narasta w miarę rozwoju cywilizacji i postępu techniki.

Wielu ludzi zadaje sobie trud sprowadzenia widowni na scenę czyli innymi słowy mówiąc sprowadzenia kibica do uprawiania sportu. W tym tkwi zasadniczy błąd. Wszystkie dotychczasowe wysiłki były bezskuteczne i rezultat każdego następnego będzie taki sam, gdyż istnieje zasadnicza różnica między sportem a naturalną potrzebą czynnego wypoczynku podnoszącego ogólną sprawność fizyczną. Nowe odkrycia naukowe w szalonym tempie pogłębiają tę różnicę.

Coraz więcej ludzi pracuje przy maszynach naciskając jedynie guziki, wraca do domu tramwajem, jedzie na pracę pociąg, a po południu spędza przed telewizorem. Sport, opierając się również na naukowych zdobyciach robi szalone postępy. Poprawienie wyników wymaga niemal ascetycznego trybu życia, wielu godzin intensywnego treningu. Z zawodnika wyciska się siódme poty. Wystarczy, że przeciętny kibic pomyśli tylko o połowie tych „przyjemności”, które czekałyby go, gdyby zszedł z trybunu na boisko, a natychmiast rezygnuje.

Wynika z tego, że kopiowanie form organizacyjnych sportu w pracy nad rozwojem fizycznym człowieka pozbawionego ruchu jest jak najbardziej niecelowe. Istnieje potrzeba stworzenia nowych form rozrywek ruchowych dla jak najszerszych rzesz, zamiast naśladowania ligowych drużyn piłkarskich, biegów Krzysztofiaka, skoków Schmidta czy rzutów Sidły. I nie jest przypadkiem, że Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej aczkolwiek ma pewne osiągnięcia, nie może szerzej rozwinąć skrzydeł. Działacze poszczególnych ognisk na własną rękę szukają najbardziej atrakcyjnych form pracy. Niektóre ogniska w Wielkopolsce sięgnęły nawet po kregle. To wszystko jest jednak tylko namiastką. W pracy ognisk jest jeszcze dużo elementów sportu. Możliwości stworzenia warunków do czynnego wypoczynku wymagają więc odrębnego omówienia.

Janusz Biniek

Azyl dla dzieł wybitnych

Z dużym uznaniem trzeba powitać niezwykle cenną inicjatywę, jaką jest uruchomienie Kina Dobrych Filmów w poznańskiej „Gwieździe”. Spyta ktoś — po co „państwo w państwie”? Czyżby bieżący repertuar naszych kin był aż tak niedobry, że musiano utworzyć specjalne kino dla filmów wybitnych?

Sprawa wygląda inaczej. Otóż Kino Dobrych Filmów — przy najmniej na razie, portretuje się bowiem o uzyskanie kopii również z Centralnego Archiwum Filmowego — dys-

Feliks Fornalczyk

wszystkie barwy codzienności

Taki tytuł dał swojej nowej powieści Eugeniusz Paukszt. Tytuł znakomity, ponieważ nie tylko stanowi on definicję treści książki, lecz również charakteryzuje dotychczasowe zainteresowania literackie autora. „Wszystkie barwy codzienności” — przyznajmy — formuła ta może starczyć za program, za hasło rozpoznawcze i za wskazówkę dla krytyka.

Codziennosc przywykliśmy przecież widzieć w jednostajnej, szarej tonacji. Paukszt widzi codzienność barwną, co więcej, zekłada, że codzienność może być nie tylko barwna, wielopłaszczyznowa, ale i atrakcyjna dla pisarza. Codziennosc może dostarczyć atrakcyjnych wątków i zdarzeń, które są w stanie zaintrygować czytelnika, nawet tego zdegustowanego.

Eugeniusz Paukszt jest za pan brat z wieloma zjawiskami współczesności, z wieloma środowiskami, grupami wieku itp. Zna je z własnego doświadczenia i przeżył, z nieprzerwanego kontaktu z najwyższym życiem, z podróży po kraju, spotkań i rozmów z ludźmi. Ale jest to znajomość przez szybę samochodu i od strony wędkarskich pogwarek: bierze, nie bierze.

Bo nieprzypadkowo wątki „Wszystkich barw codzienności” rozpoczynają się, wciągają i kończą wokół obsługi i klientów stacji benzynowej jednego z miasteczek Ziemi Lubuskiej. Stacja jest na trasie. Kierowcy, jak zakłada autor, dużo wiedzą, widzą, znają ludzi. Oni więc stanowią w powieści transmisję wprowadzającą w świat małego lubuskiego miasteczka nowe, niespodziewane zdarzenia.

Drugą transmisją ożywającą opowieść jest owych dwóch ludzi z obsługi stacji benzynowej. Mieszkać w miasteczku. Po pracy udają się do swoich domów, spolykują z mieszkańcami miasteczka, uczestniczą w najważniejszych zdarzeniach. Paukszt rozpoczyna bowiem zwykle swoje książki od jakiegoś jednego punktu, od jakiegoś częściowego wypadku, od jednej, dwu osób.

One wprowadzają dopiero czytelnika w środowisko, w życie zbiorowe, w świat miasteczka czy wsi. Wydaje mi się, że pisarz, rozpoczynając książkę nie zna wszystkiego o swoich bohaterach, nie wie o czym będzie opowiadał, nie ma określonej koncepcji powieści. Powołuje do życia paru bohaterów, kreśli sytuację, wychodząc zwykle od autentycznego zdarzenia.

Powstają więc tak dwa, trzy początkowe rozdziały, do których pisarz powraca dopiero po pewnym czasie, będąc już w innym nastroju. Od tego momentu dalszymi losami powieści rządzą bohaterowie, odciągając ich pisarzowi zbyt mało, powieść załadnia się coraz to nowymi postaciami. Postacie muszą coś robić w powieści, więc i wątki mnożą się, wciągają, komplikują. Pretekst początkowy nie ma już znaczenia do końca powieści.

Obserwowałem to w „Znaku Żółwia”, potwierdza się to także we „Wszystkich barwach codzienności”. Wierność jakimś autentycznym historiom bierze tu górę nad wymogami konstrukcji powieściowej. Paukszt chce nie uronić niczego z posłyszanych zdarzeń, nie daruje powieściowemu życiu żadnej ciekawszej figury, spoikanej kiedyś na swojej drodze. Wrodzony impet każe

mu wciąć intrygę, rozwidlać wątki, prezentować coraz to inne postaci.

Przy niezwykle łatwości pisania powieść rozbiega się coraz bardziej wszędy, przybiera na objętości, nasuwając czytelnikowi przede wszystkim to jedno pytanie: jak z tego wszystkiego autor wybrnie? A tymczasem autor mógłby zapewne jeszcze ukropić drugie pięćset stron i też bynajmniej nie zolizyby się ku końcowi. Urywa więc powieść, gdy już maszynopis dostatecznie napęczniał, metodą wyciszenia.

Ma zbyt gołębie serce, aby wciąkać swoich bohaterów w sytuacje bez wyjścia. Jest zbyt dobry, aby zasmucić czytelników, toteż daje optymistyczne zakończenie. Ludzie są dobrzy. Wszystko dobrze się kończy. Sprawiedliwość zwycięża. Ludzie dla siebie przeznaczeni popierają się. Przyszłości wygasają. Nowe siły przynoszą wolność i nadzieję. Nie martwcie się. Spijcie dobrze, świat jest tak urządzony, że słusznosc i prawda zawsze odą na wierzchu, byśmy sami byli dojrzy — zdaje się mówić autor.

Wiem, że Paukszt chce dobrze. Chce przede wszystkim wzbogacić uczucia pałlioficzne czytelnika. Pragnie szczepić wśród ludzi nauki moralne. Reprezentuje więc typ literatury pragnącej poprzez wzruszenie wynowoczyć, uszlachetniać. W tym zakresie Paukszt

nie daje czasu do namysłu, nie pozostawia wątpliwości, daje jednoznaczne rozstrzygnięcia. Bliższy jest więc metodyce pedagogicznej niż refleksji filozoficznej. Odbiorca przytłoczony, zdarzenia, faule, przy czym ich nie wymyśla, a podparuje w codziennym życiu.

Nie są to dziś dyspozycje bez znaczenia i wartości, jeśli zwyczaj, że własne faktografia i labuła są najbliższymi punktami i tak zwanej nowoczesnej prozy. Sądzę, że Eugeniusz Paukszt dysponuje autami, które mogą mu zapewnić przewagę nad modnymi odmiannami prozy współczesnej. Rzecz w tym, że swymi autami sąsiedzi on ze zbyt wielką łatwością, hojnością, bez należytego przemyslenia nie tego, co pisze, a tego, co chce wyrazić.

Stąd pojęcie „Wszystkie barwy codzienności” wydaje mi się stosowniejsze do nazwania programu całego życia, niż jednej książki. Wolałbym w niej bowiem jedną, dwie barwy — oczywiście traktując je w sensie przenośnym — gdyż wiedzę dowiedziabym się o nich więcej.

Do galerii postaci „Wszystkich barw codzienności”, owych „zoferaków”, Tomka, Mili, nieco egzotycznego „kanadyjczyka”, Marii i Poli, wspaniałego człowieka i doktora Golluba, nieokrzesanego Klimczaka, świętej w typie kontynualorki wieńskiego rodu Kirgietów, i równie uidełnego w typie Konejki, można jeszcze dołożyć Stasia, Janka, Bartka, Cesię i Bronkę, naczelnika więzienia i księdza, i kogoś tam jeszcze — i wcale nie będą to już „wszystkie barwy codzienności”, całe życie, cała codzienność nawet.

Chodziłoby więc o większą precyzję słów, o to, by odkrywać nowe nieznanie strony współczesności, i o to, by le odkrycia były tak opowiedziane, by sianowili teksty osłateczne, by nie było w nich słów, a nawet zdań i słów zbędnych, słów bez znaczenia, które można skreślić z tekstu w każdej chwili, i bez najmniejszej szkody dla powieści.

sa), a ta z kolei najbardziej dopisuje na filmach czysto rozrywkowych bądź ekranizacjach znanych powieści. Skutek jest taki, że filmy wybitne, wymagające nieraz znacznego „osłuchania” widza, jeżeli nie poprzedza je fama bestselleru lub nie towarzyszy im nazwisko głośnej aktorki, nie potrafią własnymi siłami utrzymać się dłużej na ekranie; najczęściej, zanim jeszcze dojrzały widz wybierze się do kina, film taki wędruje z powrotem do archiwum CWF, by czasem tylko (bożek Fiskus czuwa) niespodziewanie błysnąć gdzieś na jednodniowej powtórze.

A więc Kino Dobrych Filmów — to swego rodzaju azyl. A zarazem wspaniała okazja do podnoszenia kultury filmowej widza, dla kształtowania jego smaku. Okazja, która w jakimś stopniu wyrówna brak zlikwidowanego młodzieżowego „Studium” w „Warszawie”.

Kino ruszyło bez szumnych afiszy —

Dokończenie na str. 4



ponuje tymi samymi tytułami, które były już grane w ramach normalnego, bieżącego repertuaru. Repertuar ten, jak wiadomo, jest rozmaity: po prostu pokazuje się kolejne wszystko to, co zakupujemy i produkujemy. A ponieważ jednocześnie liczba kin w Poznaniu znacznie się zwiększyła, nie więc dziwnego, iż widzowi coraz trudniej zorientować się w tej mozaice.

Dodajmy, że o zejściu tytułu z afisza decyduje nie wartość filmu lecz frekwencja (twarde prawo bożka Fiskus)

Przemysław Bystrzycki

BARY i BROWARY

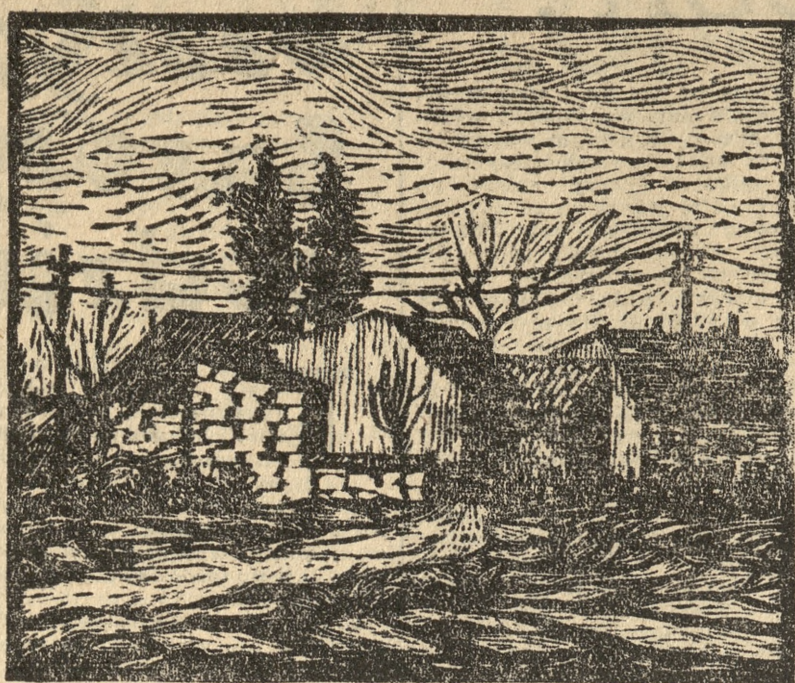
Temat to miły polskiemu sercu. Angielska propinacja może, co prawda, wielu rodakom nie przypadać do gustu, ale zew szumiącej spłuczk i kuszący dźwięk napelnianego szkła, zawsze znajdował w mym kraju wdzięczne i dwięczne echo.

Przybysz po przyjeździe do Anglii zaskoczony zostaje nie tylko różną rodnością trunków. Powiedzmy od razu: dżin i whiskey, czy jak piszą niektórzy po prostu whiskey. Zaskoczony zostaje gatunkami tego ostatniego napoju, o kolorze przeźroczystego złota, o osobliwym smaku, zapachu, charakterystycznym działaniu i — niestety — ceną. Miałem tego wyjątkowego pecha, iż trzecia czy czwarta po wojnie podwyżka cen na trunki, przypaść musiała na dwumiesięczny mój tam pobyt. Butelka mniej więcej trzy czwarte, podskoczyła o dwa szylingi, z trzydziestu ośmiu do czterdziestu. Wyraźnie nie sprzyjały mi losy.

Dżin — cóż. Nie lubię, nie pijam. Nie wiem z czego robiony (z jałowca?), mieszany z sokami lub ze specjalną przezroczystą substancją, podobno delikcyjnym dla amatorów. Niech im tam!...

Whisky za to, rodem ze Szkocji, posiada liczniejszych zwolenników na świecie niż brytyjski ustrój parlamentarny. Marki jej rozpadają się na dwa działy (wtajemniczeni twierdzą: na trzy). Dział pierwszy jest wysokiego sortu, pity w zasadzie powszechnie na wyspie: to zdobywca zagranicznych rynków — głosi chwałę dobrej wody szkockich Highlandów, tradycjami wyrobu sięga dwa wieki wstecz, poucza o umiejętnościach mieszania, owego „blend” z etykiety, co jest kunsztem kiperskim najwyższej jakości. Należy tutaj: „Johnie Walker” (ten Walker — to maszerowicz, chodzący,

Na przedmieściu



Linoryt Zygmunta Sałaty

jak twierdzi, reklama, już przeszło sto lat i stale dobrze. „White Horse”, „Black and White”, „Haigs”, „Ballantine”.

Drugiego działu należy na ogół unikać. Wchodzą tu pewne marki irlandzkie, może mniej kanadyjskie, za to kupa USA. Na przykład —

Kartki z wyspy (2)

po amerykańskiej ma się nazajutrz cudzą głowę i absolutnie brak poczucia rzeczywistości.

Trunek najlepszy powstaje w Szkocji — zgoda. Próbowali na kontynencie Czesi — nie wyszło. Tajemnica jak przy piwie: woda? — pewnie, lecz także nos kiperski ma w tym przeobrażeniu udział, wcześniej zaś — znawca alembikowych mistriów, mistrz gorzelniarzy, przy-

gotowujący zacier. Whisky bowiem powstaje z jęczmienia opalanego specjalnie na torfie w sposób dość skomplikowany. Później płyn idzie do debowych bek na 8—12 lat (trzeba mieć tę cierpliwość, co?) Z kolei mieszany („blended”) — tutaj wyborywa się smak i moc (od 34,5 do 43 europejskich procent) następnie w butelki, pod naklejkę — i w świat.

Jak wygląda jednak ten trzeci, tajemniczy dział „wody ognistej”? Nie pijem, a brak degustacji ma tu niejakić znaczenie. Wybitni znawcy przedmiotu twierdzą, że małe gorzelnie w górach, na użytek czysto wewnętrzny (my byśmy powiedzieli: według rozdzielnika), pędzą pewną ilość alkoholu o wyjątkowych walorach. Nie wiem jak to się sprzedaje, na pewno bez etykiety, prawdopodobnie tylko członkom klanu lub osobistościom wybitnym...

Można z wodą sodową lub z krąnu, można bez. Komu traci pluskwami lub stonką — niech nie rusza. Polacy na ogół bez wody, czyli „straight”, jak mówią Amerykanie, lub „neat”, jak przy barze woja Anglii. Wódę, owszem — ale następnego dnia i tylko przy kacu. Chociaż... W czasie wojny na stacjach lotniczych bufet cieszył się nadmiernym zaufaniem załóg trwających w pogotowiu bojowym. Dowódca polskiego lotnictwa rozkazał, że w przylotniskowej kancynie podawać można tylko mleko. Kiedy po pewnym czasie inspekcjonował ośrodek, zwrócił jego uwagę gwałtowna zmiana gustów młodzieży. Piloci siedzieli nad szklankami mleka i powadzieli ożywioną rozmowę świąc jak koty oczami. Podszedł, przyjrzał się bliżej: autentyczne krowie mleczko. Skosztował. Płyn posiadał swą moc.

— Co to?... — zagadnął pierwsze go z brzegu.

— Melduję posłusznie, że mleko, panie generale.

— Mleko? O takim zapachu?...

— Tak jest, bo to mleko od wścieklej krowy. Blended!

A więc i Polacy miesza.

Eugeniusz Pauksza

Dom nad Odrą

Prawdziwą satysfakcję sprawia widok coraz to pojawiających się nowych wydawnictw bezpośrednio związanych z przeszłością i dniem dzisiejszym Nadodrza. Znamienne też jest geograficzne rozmieszczenie oficyn, szczególnie zainteresowanych w publikacji pozycji związanych z ziemiami zachodnimi. Anonsuję dzisiaj książki Wydawnictwa Poznańskiego, „Ossolineum” i coraz ambitniej sobie poczynających wydawnictw „Pojezierza” w Olsztynie oraz Lubuskiego Towarzystwa Kultury w Zielonej Górze.

Podobnie jak niedawną pozycję zwiastującą z dziejami Ziemi Stupskiej, radośnie należy przywitać opublikowaną przez Wydawnictwo Poznańskie pracę zbiorową pod red. Henryka Leśniewskiego „DZIEJE POMORZA ZACHODNIEGO W WYPI-SACH”, nieoceniony podręcznik dla młodzieży, nauczycieli, podręczna encyklopedia wiedzy dla dziennikarza i społecznika. Nareszcie wypełnia się dotkliwa luka w braku tego rodzaju pozycji dla poszczególnych regionów Nadodrza. Bardziej szczegółowym przyczynkiem do dziejów tego regionu jest doskonale opracowane studium Klemensa Trzebiatowskiego „OSWIATA I SZKOLNICTWO POLSKIE NA POMORZU ZACHODNIM W PIERWSZEJ POL. XX WIEKU” (Wydawnictwo Pozn.), obejmujące problematykę głównie tzw. Pogranicza i Kaszub. Przejrzystość i sumienność wykładu łącznie z bogatym materiałem ilustracyjnym są nie tylko źródłem wiedzy o tak istotnym problemie ale i zgoda pasjonującą lekturę. Bliżej Poznania znajdziemy się przy lekturze kolejnego tomu Biblioteki Lubuskiej, wydanej przez Wyd. Poznańskie „Z PRZESZŁOŚCI MIEDZYRZECZA”, gdzie Stanisław Kuratowski omawia na tle badań archeologicznych z lat 1954—1958 rozwój Miedzyrzecza, jednego z silniejszych grodów dawnej Wielkopolski, a Jerzy Nalepa zastanawia się nad dziejami tego ośrodka od założenia po rok 1793, gdy odcięty przez zabór przestał pełnić dotychczasowe funkcje w stosunku do Polski.

Do pasjonującej sprawy Słowinów, którzy w morzu germanizacji niemal po ostatnie dni nie stracili swej odrębności skryci w moczarach nad jeziorami Gardno i Łeba, nawiązuje wydany przez „Ossolineum” zeszyt „SŁOWINCY, ICH JEZYK I FOLKLOR” stanowiący zbiór materiałów z konferencji słowińskiej PAN-u. Zwłaszcza ciekawe są studia językowe, wskazujące, iż jeszcze i dziś można się spotkać w wioskach słowińskich z wyrazami i zwrotami kaszubskimi.

Dobrze się stało, iż staraniem „Pojezierza” ukazał się wybór prac zasłużonej działaczki regionu warmińsko-mazurskiego, założycielki Instytutu Mazurskiego, Emilii Sukertowej-Biedrawiny „KARTKI Z DZIEJÓW MAZUR”. Autorka daje nam światło szereg mało znanych zjawisk w bardziej oddalonej i zupełnie bliskiej przeszłości regionu, te ostatnie w dodatku mają charakter osobistych już wspomnień, co na pewno jest dodatkową zaletą szkiców.

Na przykładzie wydanej przez „Ossolineum” książki „TRADYCJE I WSPÓŁCZESNOŚĆ POWIATU SYCOWSKIEGO”, owoc zbiorowej pracy, chciałbym podkreślić coraz silniej nurtującą w najmniejszych nawet ośrodkach Nadodrza potrzebę ukazania ich przeszłości w konfrontacji z doświadczeniami dnia dzisiejszego. Prac

podobnych w typie ukazują się coraz więcej, wydaje mi się też, że inicjatywę taką należy popierać, jako istotny element naraśniania nowych więzi z Nadodrzem.

Inny charakter ma ślicznie wydany przez „Pojezierze” tom studiów etnograficznych, będących zsumowaniem prac zgromadzenia Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Pod skromnym tytułem „PRACE I MATERIAŁY ETNOGRAFICZNE”, czytelnik otrzymuje nader ciekawą materię, dotyczące kultury dawnych Prusów, budownictwa ludowego Warmii i Mazur, plastyki ludowej regionu, spuścizny Michała Kajki, teki mazurskiej Oskara Kolberga i inne. W sumie nieoceniony materiał poznawczy.

LTK w Zielonej Górze opublikowało tomik „MOJ DOM NAD ODRĄ”, będący wyborem wspomnień pierwszych osadników na Ziemi Lubuskiej. Świetny wstęp Andrzeja Kwileckiego dodatkowo sumuje walory książki, pasjonującej jak najbardziej dramatyczną powieść. Odstania się przed czytelnikiem niedawny, a już zapomniany czas pionierstwa, nadludzkich wysiłków nad objęciem i zagospodarowaniem Nadodrza. Poprzez trud sąsiedni miłość nowej ziemi. Serdecznie polecam tę pozycję, podobnie jak niemiernie pasjonujące wspomnienia jednego z najbardziej zasłużonych dla Ziemi Lubuskiej ludzi, Wiesława Sautera „POWROT NA ZIEMIĘ PIASTOWSKIE” (Wydawnictwo Poznańskie), relację wspomnień o tworzeniu i organizowaniu szkolnictwa polskiego na Ziemi Lubuskiej zaraz po Wyzwoleniu. Trudno, jak pisze w przedmowie W. Markiewicz, o piękniejszy pomnik wystawiony ofiarom nauczycielowi polskiemu.

Azyl dla dzieł

Dokończenie ze str. 3

i oto obserwujemy dziwne na pozór zjawisko (bożek Fiskus kreśli ze zdumienia głowę): filmy, które w bieżącym repertuarze często nie miały frekwencji, ściągają do „Gwiazdy” komplety. Okazuje się więc, nie po raz pierwszy zresztą, że jest w Poznaniu znaczna liczba kinomanów z prawdziwego zdarzenia, szukających w kinie czegoś więcej niż spędzenia dwóch godzin wolnego czasu. Istnienie zaś kina tego rodzaju liczbę tę z czasem powiększy.

KDF wystartowało z cyklem „Film — oskarżeniem wojny”. Rozpoczęło od „TOWARZYSZY BRONI” Renoira, ze Stroheimem i miodnym Gabinetem, filmu, który od wielu lat znajduje się w pierwszej dziesiątce na liście najlepszych dzieł kinematografii światowej. Potem przypomniano dramatyczne, przejmujące „GORZKIE ZWYCIESTWO” Ray’a, z Jürgensenem i Burtonem. Obecnie na ekranie odnalazł się ciekawy psychologicznie film Kawalerowicza „PRAWDZIWI KONIE WIELKIEJ

WOJNY”. W najbliższych dniach ujrzymy amerykańskich „ZOLNIERZY” Wellmana, z Mitchumem, jakże odmiennych stylistycznie od „Gorzkiego zwycięstwa”; po nich zaś urzekająca choć niełatwa „HIROSZIMSKA NOC” Resnaisa, z kapitałną Emanuela Riva, dzieło mające przełomowe znaczenie dla rozwoju całej kinematografii. Dojść powinna także znakomita „BALLADA O ZOLNIERZU” Czuchraja, słowem — same rodzyńki. Niestety, niektórych tytułów nie będzie już można pokazać, jak np. świetnego „Vivère en pace” z J. Kitzmullerem, gdyż CWF nie dysponuje wszystkimi kopiami (na litosc, chyba nie przekazano ich na grzebień?). Ale i bez tego można, jak widać, znaleźć wiele filmów godnych otrzeptania z kurtu i pokazania publiczności.

Radzę więc śledzić pilnie repertuar „Gwiazdy”. Program zmienia się co 3 dni, bilety dostępne dla wszystkich, nazwa — Kino Dobrych Filmów. Azyl jak najbardziej potrzebny.

JANUSZ BINIEK



Stali Czytelnicy Lektora pamiętając zapewne cytowane na tym miejscu przed dwoma tygodniami listy „Obcego” do redakcji Polityki; człowiek ten na podstawie decyzji Komitetu Miejskiego PZPR otrzymał zwolnienie z pracy na podstawie anonimowych przesłanek.

Naprawiona krzywda

W bieżącym wydaniu Polityki zamieściła Nst Sekretariat KW PZPR w Poznaniu, z którego wynika, że ob. Neuman (to nazwisko „Obcego”) zwolniony został z pracy w Zakładach Miejskich na podstawie uchwały egzekutywy KM PZPR w Kaliszu w oparciu o kilka sugestywnych anonimów napisanych z pozycji nagonistyczno-szowinistycznych („Obcy” jako dziecko podczas okupacji wpisany został na volksliste).

„Owczesna egzekutywa KM z I sekretarzem Żyrowskim — czytamy w liście podpisanym przez I sekretarza KW PZPR w Poznaniu, Jana Szydłaka, nie rozpatrzyła merytorycznie całej sprawy i miała wystąpić przeciw niesłusznemu szowinistycznym żądaniom zwolnienia ob. Neumana podjęła decyzję o jego usunięciu ze stanowiska głównego księgowego, pomimo wieloletniej pozytywnej jego pracy. Ta niesłusznna decyzja mogła mieć miejsce dlatego, iż w egzekutywie KM naruszone zostały zasady kolegialnej działalności poprzez ówczesnego I sekretarza KM tow. Łykowskiego, który de-

cyzja KW i uchwała Plenum KM został zdjęty ze stanowiska za łamanie demokracji socjalistycznej i nieprzestrzeganie zasad etyki partyjnej zaś sprawa konsekwencji partyjnych rozpatrywana będzie przez Plenum KW (tow. Łykowski jest członkiem KW (...)) Decyzja egzekutywy KM (...) była niesłuszną i bezprawna (...) ob. Neuman jest pełnoprawnym obywatelem Polski w niezmienionym obywatelstwie, ani posiadania volkslisty, ani służby w Wehrmachcie, zaś 11-letnia dobra praca od 1950 roku dał wszelkie dowody aktywnego i patriotycznego stosunku do kraju i ojczyzny.”

Z listu Sekretariatu KW PZPR dowiadujemy się, że postanowiono przywrócić ob. Neumanowi stanowisko głównego księgowego w Rzekni Miejskiej, uregulować sprawę uczestniczenia w podziale funduszu zakładowego za 1961 rok i wypłacić mu pobory za styczeń i luty bież. roku; na prośbę zainteresowanego postanowiono go skierować do pracy w innym z kaliskich zakładów. W zakończeniu listu Jana Szydłaka czytamy:

„Pragnę równocześnie podkreślić, że w liście ob. Neumana niektóre sprawy, jak zarzut przestępstwa działalności dyrektora Zakładów Miejskich, po zbadaniu przez prokuraturę okazały się nieprawdziwymi, tak samo, jak i zarzut o niekwalifikację kandydata b. sekretarza Łykowskiego. Należy jednak mieć prawo poszkodowanego do pewnej przesady przy obrobie swych słusznych praw. Tak więc przy pomocy „Polityki”, teoria nie rozminęła się z praktyką”, krzywda wyrządzona obywatelowi została choćby z opóźnieniem naprawiona, a publiczne postawienie sprawy ma wychowawczy charakter i pomoże zrozumieć tego typu problemy wszystkim zainteresowanym.”

Dokument partyjności i humanizmu

W komentarzu redakcyjnym „Polityka” informuje:

„Obecnie, kiedy dzięki zdecydowanemu i mądrym stanowisku władz partyjnych krzywdy zo-

stały naprawione postanowiliśmy ujawnić usunięte poprzednio szczegóły (z listów „Obcego”) usunięto nazwy miejscowości i nazwiska, w tym również autora — przyp. Lektora (...). Sprawa Neumana jest przykładem optymistycznym. Wskazuje ona, jak nasza partia żywa i rzeczowo reaguje na zjawiska naruszania praworządności, jak nie obawia się ujawnić błędów popełnionych przez poszczególne jednostki jednej ze swoich instancji, jak też błąd naprawia. Stanowisko zajęte przez Komitet Wojewódzki PZPR w Poznaniu jest wzorem takiego właśnie postępowania. Dokument, jakim jest odpowiedź KW PZPR na naszą publikację pt. „Obcy” jest dokumentem partyjności i humanizmu (...). Obyśmy mogli zawsze mieć do czynienia z tak mądrym i głębokim ujmowaniem spraw ludzkich.”

Co bardziej kosztowne?

Pe cyklu artykułów na łamach Życia Warszawskiego, Przegląd Kulturalny drukuje artykuł Bogdana Gołowskiego (Remenent) na temat przygotowań do reformy szkolnictwa. Autor porusza kilka spraw, proponując w szczególności:

„aby do dyskusji nad makietami (podręczników) wciągnąć najwybitniejsze autorytety naukowe danej dziedziny (...). To nie jest wotum mianowicie wobec resortu, naukowców stale współpracujących z oświatą, czy wobec środowiska nauczycielskiego. Ale równocześnie warto sobie uświadomić, że przy najlepszej woli nauczycieli każda daleko idąca propozycja musi wzbudzać uzasadnione psychologiczne opory. Powtórzmy stary banał: najcięższe jest to, do czego jesteśmy przyzwyczajeni (...). I jeśli dyskusja z tymi naukami ma być skuteczna, trzeba na szale rzuć rzeczowe argumenty poparte wielkimi autorytetami (...). W tej dziedzinie szczególnie ważna rola przypada Polskiej Akademii Nauk i uczelniom wyższym.”

Polemizując z zarzutami, że reformy oświatowe są zbyt kosztowne, autor stwierdza: „brak tych reform jest daleko kosztowniejszy i dopiero na to nas najzupełniej nie stać.”

Walka o prestiż zawodu

Głos Nauczycielski w artykule Krystyny Rogalskiej (Dyskusja szkodliwa i krzywdząca) negatywnie ustosunkowuje się do dyskusji prasowych na temat kształcenia nauczycieli i niedostatków w pracy studiów nauczycielskich. Autorka opowiada się wprawdzie za potrzebą ukazywania błędów w kształceniu nauczycieli, ale stanowczo sprzeciwia się, by były to dyskusje publiczne. Stwierdza, że publiczna dyskusja o nauczycielstwie podrywa autorytet wychowawcy w oczach młodzieży, że nie każdy kraj czytelników jest przygotowany do obiektywnego rozpatrzenia problemów kształcenia nauczycieli.

Wydaje się, iż są to argumenty bardzo dyskusyjne. Czyżby wyłącznie nauczyciele i działacze oświatowi mieli prawo zabierania głosu na temat kształcenia nauczycieli? Szkoła, system kształcenia nauczycieli — to zjawiska społeczne, nie może być więc nikomu obojętne, kto i jak przygotowuje uczy naszą młodzież. Ważne oczywiście, żeby dyskusja była konstruktywna. Ale krytykancie w tej dziedzinie, na szczęście, nam nie grozi.

Równie ważne jest chyba i to, o czym we wspomnianym Przeglądzie Kulturalnym pisze Bogdan Gołowski, stwierdzając, że:

„nie ma innego sposobu na podniesienie rangi zawodu, jak doskonałość jakości kadr nauczycielskich. I każda uzasadniona krytyka systemu kształcenia nauczycieli, to równocześnie walka o prestiż społeczny tego zawodu.”

LEKTO